

# ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III.

niedziela, 18 marca 1934 r.

Nr. 12

Helena Boguszevska

## Modestowa

### Fragment powieści „Całe życie Sabiny”

Z mieszkaniem skończono. Sabina oddycha, jakby odwalila za siebie ciężką robotę. Nie, nie całą robotę, tylko część... bo przecież chce, żeby jeszcze było dużo do przemyślenia, żeby jeszcze nie był koniec... Bo naprzykład taka rzecz: z mieszkaniem, zdawałoby się, skończono. Ale w każdym mieszkaniu była kuchnia, a w każdej kuchni był piec kuchenny i paka z węglami. A pomiędzy piecem a paką tkwiła służąca i była, jak ten piec i jak ta paka, jak łóżko i stół, i szafa, jak o- biad i buty, jak wszystko, bez czego nie można żyć... Tkwiła, a czasem „latała“, a jak „wyleciała“, to gdzieś „siedziała“, i to wla- śnie wtedy, kiedy powinna była jaknajbardziej tkwić i podać Sa- binie herbaty. A kiedy Sabina chciała drugiej szklanki, to oka- zywało się, że jest właśnie dola- ne...

I do każdej z nich mówiło się „ty“ i „ty“, a już w naj- lepszym razie „ty“ i „ty“... I o każdej z nich mówiło się przy niej samej po francusku, i każda miała przy tym taką twarz, jak- by rozumiała i Sabina, jak była mała, zawsze się wstydzila i bała się, że ona jednak jakimś cudem rozumie... ale dorośli już się nie wstydzą takich rzeczy. Więc się mówiło o każdej, że wprawdzie to i owo jest złe, ale lepij już to znosić cierpliwie, niż zmieniać, bo te ciągle zmiany, to też na nic... Może być jeszcze gorzej a tak, to przynajmniej wiadomo, jak jest. I o każdej okazywało się w końcu, że właśnie niewia- domo, jak jest...

Modestowa...

Ach, nie — Modestowa, to co innego... Modestowa nie tkwiła nigdy pomiędzy piecem kuchennym a paką z węglami. Przede- wszystkim dlatego, że tam wo- góle nie było paki z węglami, tyl- ko „drewutnia“, miła drewutnia, pełna pachnącego brzo- wem drzewem mroku, pełna tajem- nych, jak strych... drewutnia, gdzie można się było chować przy zabawie w chowanego, bo nie „by- ło wymówione“...

Ale przecież Modestowa nie jest najdawniejsza. Jeszcze na- długo przed nią, z czadu naj- większego dzieciństwa, jak z opa- rów, wylawia Sabina zapach per- kalowego kaftanika, koralu, na- syconych ciałem, spracowanych rąk, brązowych od słońca, za- pach całej nianki, wielkiej i cie- płej... ach, znajoma szorstkość samodzielnego spódnicy. Kiedy w niezawodnym bezpieczeństwie jej fałdów, małe nogi radośnie tu- powały po dwóch deskach dudni- cych, ruchomych, jak klawisze, wiodących przez błoto od dworu do kuchni, jak po czarodziejskiej drodze... Dwie deski wprowadza- ją w szczęśliwe mroczne ciepło, pachnące chlebem i machorką, ktoś przygrywa na organkach, jakieś wielkie ręce porywają Sa- binę, unoszą w górę, w dół, w górę, w dół, wysoko - wysoko, aż pod sam zakopcony, czarny od much sufit, w zawrotną, lachotni- wą, zanoszącą się od śmiechu ra- dosć:

Przy-chały pany-czy  
Hrycza-nyki nape-czy-y

Wielka noga w zrudziałym bucie z cholewą w kostki sfaldo- waną równo, jak harmonja, przy- tupuje:

Hop, moi hrycza-nyki

Hop, moi myły-yy

Czohoz mi hrycza-nyki na cze-re- ni- [siły]

— Co to znaczy „na cze- re- ni“? — zapytuje Sabina. Ale już na pokojach. Ale już kiedyś dużo później.

— To znaczy, że takie ciasto... opadło w piecu, jakby było z za- kalcem...

— To czemu oni nie śpiewają tak?

— To czemu oni nie śpiewają jak?

— No tak, że ciasto opadło w piecu, jakby było z zakalcem?

— Ależ przecież oni śpiewają po chłopsku...

— Ach, prawda... — Sabina milknie zawstydzona. Dorośli się śmieją, że też dzieci nie wiedzą najprostszyc rzeczy...

Znowu ten sam opar. Odsla- nia się. Bose stopy przypłaskują o ubite gliniane klepisko. Wielkie kolano galopuje coraz prędzej, coraz prędzej...

Jedzie, jedzie pan, pan

Na koniku sam, sam...

Lachoczą radości przyczą- ją się, przycupnięta w oczekiwaniu:

Jedzie, jedzie chłop, chłop

Na koniku hop, hop...

Jeszcze nie to, jeszcze nie to

nałepsze, ale już zaraz, tuż-tuż...

Jedzie, jedzie Żyd, Żyd

Na koniku hyc, hyc...

A za Żydem Żyd-óweczki

Pogu-bily paty-necki...

Tuż zaraz. Przycupnięty śmiech zaczyna się, żeby już-już, na cale- go wybuchnąć:

Aj-waj-mir!

No, tak! Żadnej twarzy, nie wyrażonej! Tamten śmiech, różo- wy kaftanik, bosa stopa, wielki but, pachnące machorką duszne, szare ciepło „ludzkiej kuchni“ znowu zachodzi oparem, jak mgłą i tylko słychać jeszcze:

Hop, moi hrycza-nyki

Hop, moi myły-yy

Jakby przyjechał i oddał i przyjechał kolorowy, zaczarowany korowód dzieciństwa. I to naj- śmieszniejsze:

Aj-waj-mir!...

\* \* \*

— Oto, jakie mam najdawniej- sze wspomnienie z mniejszości narodowych — dowcipnie myśli Sabina na łóżku, jakby opowia- dała komuś, i uśmiecha się smut- na — z „mniejszości narodo- wych“...

A teraz, dopiero teraz... Mode- stowa siedzi wielka, wspaniała za stołem w innej już, cieplej, senniejszej kuchni, czarnej od much. Nadąsana, niechętna. Popija her- batę — od rana nie jeszcze nie miała w ustach. Bezcenna z rę- kami na ogromnym brzuchu, nie chętnie patrzy, jak chuderlawy O- stap układa w wazonach ostatnie letnie kwiaty o zakrótko ściętych łodygach: georginie, astrzy...

— Panna pamięta, jak będzie kiedyś robiła bukiety: czerwone zawsze do środka, białe po bo- kach. Ot, jak!

(Do dziś dnia Sabina pamięta. Nie to, żeby tak właśnie robiła, ale pamięta — pamięta. Ach, O- stapie, Ostapie, czyż można dłużej pamiętać!...)

...posępne, ostro niebieskie oczy Modestowej patrzą z dezapoba- tą spod niskich, prostych brwi:

— Cóż to Ostap sobie myśli, czy to tak układają bukiety na po- kojach? I czy to Sabina, jak wy- rośnie duża, sama nie będzie wie- działa, jak ma układać, tylko bę- dzie się musiała Ostapa radzić? Ot, powiedział, co wiedział!...

Sabinie żal się robi tak zgro- mienego Ostapa: podchodzi, przy- gląda się, dotyka bukietu, zbite- go w kupę, jak kalafior...

Leniwie przesuwają się popołud- nie. Muchy brzęczą, na wiecznie zamkniętych, niemytych kuch- nych oknach, muchy się męczą w szklanej mucholapce, tonąc w zie- lonkawej serwatce, to znowu wyla- żąc z niej na brzegi. Helena wpada z wrzaskiem, że słonecz- nik tuż przy płocie panny Malwi- ny ma już takie czarne ziarnka, „jak nie wiem co“... I zaraz wyla- tuje. Rozwalony w wiecznie ot- wartych drzwiach Bęben ledwie zdążył uderzyć kilka razy wyle- niałym, a jednocześnie skołtunio- nym ogonem w spróchniałe scho- dki — i musiał odejść stamtąd na dobre, choć nie chciał, bo pe- jasyt woziwoda zaczyna właśnie przelewać wiadrami ciepłą, brudną, i zeznąną wodę ze swej ośli- giej beczki na kołach do tej dud- niącej czarnej, przy drzwiach... Koń woziwody, żydowski koń brudnobiały i jakby posypyany hreczką, o wystających kłębach i drżących, zgitych kolanach, usi- luje, jak zawsze, skubać niską,

drobną trawę przed kuchnią i ja- koś mu nie idzie. Ostap czyści te- raz noże szmatką i tłuczoną ce- głą, i opowiada, jak to było, kie- dy służył w „preobrażeńskim puł- ku“, i nikt go nie słucha. „W preobrażeńskim pułku“ — wyma- wia, a Sabinie to imponuje, cho- ciaz jest patriotką i niecierpi Mo- skali...

Dziobata, zielonkawą gębą Ra- fala zagłada przez otwarte drzwi.

— Czego ty tu, synku, przy- szedł — burczy Modestowa, ale wstaje, wzdychając, czegoś kręci się po kuchni, coś mu tam wtyka, i poszeptawczy za progiem, wrac- na swoje miejsce. — Sabinia, nie powiada nikomu, że Rafał tu przychodził. Nie trza mówić!...

Ach, nie powie, nie powie, choć by ją nożem rzęnił... jest taka szczęśliwa, że Modestowa wogó- le czegoś chce od niej... wczoraj „na pokojach“ znowu mówili przy obiedzie, że Rafał jest złodziej, a Modestowa ucziwa.

— A przytem znajdziecie mi dru- gą taką, coby umiała tak gotować — dodał stryj Konstanty — ot naprzykład choćby i taka zupa jak dziś... zdaje się: nie takiego a jednak... albo weźmy ten stru- del...

Sabinie imponuje to, że o Ra- fale mówi się: złodziej. Sabinie imponuje, że ma nie mówić o jeg- przychodzeniu... Sabinie imponu-

je dużo rzeczy „na pokojach“ i wszystko w kuchni... szczęśliwa, tuli się do Modestowej. Ale za- raz zamiera ze zgrozy: słyhać, jak woziwoda odjeżdża z przed- domu, krzyczy na konia. Świszcze batem...

— Ot, jak wali — radośnie na- słuchuje Ostap.

— Onby i człowieka zakatował, a nie tylko konia — posępnie mó- wi Modestowa.

Wszystko ucicha. Wchodzi Ró- zia. Przystrojona w kolorowe szmatki, papierki. Cicho siada ko- ło okna. Kręcący się po kuchni Bęben ostatecznie decyduje się położyć przy nogach Modestowej. Bosa stopa dobitliwie drapie go w sparszywały kark.

— Ot tobie dobrze letnią porą, ale jak ty będziesz zimą, jak? Pa- ni napędzi ciebie choćby i na mroź. A i w sionce też dobrze chłodno, co?

Zółte oczy, nalane przesadnym wzruszeniem wiedzą, że mówi się o nich, ale nie wiedzą, co. Rozku- dlane cielsko rozwała się brzu- chem do góry, nadstawia brudny brzuch pieszczocie gołej stopy.

— Ot, kiedy był młody, ładny, to mówili: z białym krawacikiem — bosa stopa czochna brudny bia- ły trójkąt pod osiwałym pyskiem — ot tobie i krawacik... Bębuś, Bębuś — przedrzeźnia Modesto- wa — a to na kanapę, a to na łóż- ko... A teraz poszło won, że stary, że paskudny zrobił się, że pehły puszcza... A gdzież to ten „kra- wacik“, pytam się u jej... Sabina żałośnie myśli, że „zi- mową porą“ będzie daleko, będzie w Warszawie na Hożej, i nie bę- dzie komu Bębna bronić... Wszy- scy milczą, tylko Różia coś do sie- bie szepcze. Coś swojego, jakby nie słyszała, co tu mówią. Ostap patrzy na nią i puka się palcem w czoło. Sabina się wstydzi...

— Co tu się dziwi, że z psu- mi tak robią, kiedy z ludźmi — ponuro ciągnie Modestowa — ot choćby i ta cała Różia: troje dzie- ci wyńfacyła u tego Starynkie- wicza, po nocach nie spała, cią- gle na rękach nosiła, kiedy mieli koklusz, co to już wszyscy myśle- li, że ta ich mała kończy się... toż te dzieci tak krzyczeli za nią, jak za matką, i ona przepadała za nimi... a teraz, kiedy już jej ze wszystkim jest niedobrze, to po- szła won na ulicę...

Znowu wszyscy milczą, tylko Różia szepcze coś do siebie, jakby nie słyszała, że o niej mówią... rozdarta żałością Sabina nie wie, czy ma się brać do pocieszenia jej, czy Bębna... Ale przecież Bę- ben dopiero w zimie będzie bied- ny, a Różia już teraz... Więc wła- zi jej, jak zwykle na kolana, małe mi brudnymi rękami zwraca ku sobie jej twarz o dalekich obcych już oczach...

— Róziu, Róziu, poco Różia po- naczepiała sobie te papierki? Nie trzeba Róziu, ja lepiej pojedu- jem, Róziu, co? mogę zdjąć, Róziu? — proponuje nieśmiało...

I dopiero teraz Różia jakby ją zobaczyła, jakby usłyszała: prze- staje szeptać do siebie, zaczyna przyglądać się jej uważnie — u- ważnie, zaczyna wykrzykiwać się dziwnie...

Ale już Modestowa wstaje ze swego miejsca, wielka, czegoś niezadowolona. Prędko, przedko- zdejmując z kolan Rózi Sabinę, popycha ją ku drzwiom...

— Niechno panna idzie sobie stąd „na pokoje“, niechno Sabin- cia idzie... A to cały dzień siedzieć w kuchni, czy co?!

I Sabina zmartwiona wychodzi. W pełnej gratów sionce przysta- je: nasłuchując: dolatuje ją cien- ki, kobiecy chichot Ostapa, gnie- wny, gruby głos Modestowej, a potem jakiś obcy, dziwny krzyk niewiadomo czyj, i zaraz milk- nie...

Sabina pędzi przez pokoje...

Felicja Lilpopówna

## Przed wystawą kapistów

Dnia 23 marca otwarta zostanie w Instytucie Propagandy Sztuki zbiorowa wystawa kapistów, gru- py, najbardziej dzisiaj atakującej i atakowanej. Historia tych ludzi, którzy po dziesięciu latach wspól- nej pracy, od chwili powrotu do kraju w r. 1932, podjęli ciężką i niewygodną walkę o swoje ide- je, z których przestankami moż- na się nie zgadzać, ale których bezwzględnej ideowości i szczerze- w tej walce postawy nie można nie uszanować — mało jest zna- nych szerszemu ogółowi; warto ją więc w paru słowach zobrazo- wać.

Spotkali się po raz pierwszy w Krakowskiej Akademii Sztuk Pię- kich. Przyjechali tu nie tylko z różnych okolic Polski, ale i z róż- nych krajów: Jan Cybis z nie- mieckiego Górnego Śląska, po u- przednich studiach we Wrocła- wiu, Józef Czapski z Akademii w Petersburgu, Zygmunt Waliszew- ski z Tyflisu, gdzie przyjaźnił się z grupą rosyjskich futurystów. Tadeusz Potworowski z Poznań- skiego, Seweryn Boraczek z Ukrai- ny, Józef Jarema z Małopolski, Włodzisław, Stanisław Szczepań- ski z Małopolski Zachod- niej, Dorota Seydenmanowa i Ja- nuszy Strzałęcki z Warszawy. Ja- cek Puget, Artur Nacht i Hanna Rudzka z Cybisem z Krakowa.

Po powrocie prof. Pankiewi- cza zgrupowali się wszyscy w je- go pracowni, gdzie studiowali kil- ka lat, aż wreszcie przyszedł mo- ment, kiedy uświadomili sobie ko- nieczność wyjazdu zagranicę, — gdzież bowiem, jak nie w Pary- żu, prowadzić dalsze studia i po- znawać europejskie malarstwo? Zawiązali wówczas grupę, zło- żoną z dwunastu członków pod na- zwą „Komitet Paryski“, nad którą protektorat objął prof. Szysko- Bohusz, a prezesurę piastował J. Czapski. Zakrzętneli się ener- gicznie około zebrania pieniędzy: urządzili loterię, na którą wszyscy artyści krakowscy ofiarowali chętnie swoje płótna, zorganizowa- li bale i przedstawienia tea- tralne. Zgromadzone w ten spo- sób fundusze miały wystarczyć

na zapłacenie paszportów, biletów kolejowych, i na pierwszy miesiąc życia w Paryżu. O dalszą przysz- łość nikt się nie kłopotał.

Wyjechali z Polski w lecie r. 1924. Wszyscy razem wynajeli niewielką pracownię w okolicach Porte d'Orléans, a mieszkali, jak się dało. Na modela nigdy oczy- wiście nie było pieniędzy, skro- często nie było pieniędzy na ży- cie: z konieczności więc malowali same martwe natury, lub auto- portrety, zresztą większość czasu spędzali początkowo w muzeach i galeriach, studiując dokładnie wielką sztukę francuską, a odno- sząc się sceptycznie do t. zw. „Ecole de Paris“. Skoro minął pierwszy miesiąc sytuacja stała się tragiczną; wówczas to przy- szedł z pomocą Antoni Potocki, który swoim entuzjastycznym ar- tytułem p. t. „Zmiana warty“ zwrócił uwagę na „kapistów“. Obecny senator p. S. Laurysie- wicz i p. Loewenstein dopomagali odtąd w opłacaniu pracowni.

Każdy z grupy starał się o za- robek, jak umiał: rysowali ogło- szenia do kina, mody do żurnali, pisali korespondencje do gazet, robili „stare“ parawany i mode- le okrętów, nawet grzywali jako zespół orkiestrowy na dacingach.

Mimo namowy ze strony sta- rszych kolegów, nie śpieszyli się z urządzeniem wystawy, wycho-

dząc z założenia, że nie należy przedwcześnie ściągać na siebie uwagi. Po raz pierwszy dali się publicznie poznać dzięki konkur- sowi, zorganizowanemu dla malar- zów polskich w Paryżu, staraniem Gustawa Zamoyskiego. Jury, w którego skład weszli malarze tej miary, co Rouault, Dufy i Friesz, wszystkie pięć nagród przyznało kapistom. Rezultatem tego suke- su było zaproszenie całej grupy przez głównego marchanda francu- skiego w Genewie do urządzenia tamże wystawy, która odbyła się z wiosną 31-go roku i przyniosła kapistom zasłużone powodzenie. W Paryżu wystawili po raz pierwszy w r. 30-ym, w Galerie Zak, zwracając uwagę krytyki, ko- lekcjonerów i marchandów.

Znacznie im przytem pomogli nieustrudzone: pani Sert - Godeb- ska (córka autora pomnika Mie- kiewicza i niezwykle wybitna oso- bistość na terenie Paryża, kobieta, którą malował Cézanne i Toulou- se - Lautrec, która lansowała w Paryżu balety Djagilewa i Stra- wińskiego i t. d.) oraz pani Ger- truda Stein, odkrywczyni Picassa i Matisse'a.

Wkrótce po Paryżu ujrzała ich Warszawa: jesienią 31-go roku w lokalu Polskiego Klubu Arty- stycznego (za prezesury prof. Ka- rola Stryjeńskiego) wystawili oko- ło stu płócien, wywołując duże

zainteresowanie, zwłaszcza wśród młodszych kolegów i niezwykle przychylnie, a nawet entuzjastycz- na krytyki. Już wówczas mówił Czapski, na wieczorze, urzędzo- nym dla kapistów przez Klub Plastyków Warsz. Akademii, o za- miarze rychłego powrotu do Pol- ski. Do kroku tego namawiał go usilnie Karol Stryjeński:

— Dalsze prace grupy powinny być kontynuowane już w kraju. Potrzebni tu są, więc niechże wracają!

Jakoteż niezapadło wrócić: Czapski urządził jeszcze w Pary- żu własną wystawę w Galerie Vi- gnon, na której, bez przesady, zgromadził się „cały Paryż“, a szereg płócien został zakupiony przez kolekcjonerów amerykań- skich; Cybisowie, wróciwszy — już w r. 31-ym do Krakowa, rozpo- częli tam energiczną działal- ność, wszedłszy do komitetu re- dakcyjnego „Głosu Plastyków“, pisma, które odtąd uległo ogrom- nej przemianie. Wreszcie w r. 32-gim cała grupa znalazła się już w Polsce. W konkursie, rozpi- sanym na dekorację plafonów wawelskich. Waliszewski, Jarema i Cybis otrzymują nagrody i prace te zaczynają już wykony- wać. Również Waliszewski, Po- tworowski, Cybis i Szczepański o- trzymują nagrody na Salonach do- rocznych w IPS.

Biorąc czynny udział w życiu artystycznym Warszawy i Krako- wa, współpracując przy urzędze- niu wielkiej wystawy Pankiewi- cza (IPS wiosna 33 roku), Czapski wygłasza szereg odczytów, wywołujących żywy oddźwięk w prasie.

Kursuje o nich pogłoska, że są „zarozumiali“ i niedostępni: zna- jąc ich bliżej, wiem jednak, jak dalece zarzuty te są niezasadnie, wiem o ich rzetelnym do pra- cy stosunku, wiem, jak ciężko o- ten swój wyraz plastyczny wal- cę. Na najbliższej wystawie po- każą około 150 płócien i szereg rzeźb (J. Pugeta). Zaczekajmy, co ta wystawa przyniesie: im zo- stawmy głos, niech mówią sami za siebie.

NA WYCZERPANIU

Stanisława Piaseckiego:

### Prosto z mostu

Cena zł. 3.—.

Nakład „Roju“.

Do nabycia we wszystkich księgarniach